NR. 3 **ANTENA LITERACKA** NR. 3

Cena 50 gr. KRAKÓW, Grudzień 1929 r. Rok I.

Indywidualizm a szkoły literackie.

Biadał ktoś, otwierając naścieżaj wrota polskiej kultury obcym nowinkom, że zbyt jednolicie przedstawia się dorobek duchowy naszego XIX wieku: romantyzm i impresjonizm, te dwa dopełniające się prądy literackie, przedzielone nieistotną, według owego nowatora, przerwą pozytywizmu, wypełniają całą umysłowość polską w przeciągu zeszłego stulecia. Tak stwierdzono brak innych szkół i prądów literackich, które w owym czasie bujnie zagranicą kwitnęły.

Gdzież parnasizm? Gdzież naturalizm? Gdzież inne? — I na gwałt rzucono się do tworzenia grup, koteryj, szkół literackich, wyznających różne, ściśle dla każdej szkoły oznaczone programy, wierzących ślepo i naiwnie w nieomylność swych, coraz to ryzykowniejszych celów, i w ich zbawienność.

Zaczęto więc czemprędzej przeszczepiać, w chłonącą wszystko, zaledwie wolną, umysłowość polską, ostatnie — że się tak wyrażę — przeboje literackie zagranicy, poeci zaś, których jedyną zasługą było rzucenie w polski ugór paru ziarn obcej, przyjętej i przetrawionej myśli, otwarcie to wyznali: — „Ja zaś, ku chwale imienia ojczyzny swojej, przeszczepiam obce pędy na Drzewo Rodzime, na krzepki Dąb Polski". (Tuwim).

Ilu poetów, tyle „Zwrotnic", „Dźwigni", „Meteorów", „Kadr" i innych „Zdrojów": koteryj i koteryjek. — Nie wymieniłem tu Skamandra, bowiem poeci tworzący tę grupę, nie przyznawali się do żadnego ściśle określonego programu. Czy go nie mieli? — rzecz inna.

Obowiązkiem każdego poety jest należeć do jednej z tych grup pod groza okrzyknięcia go niewspółczesnym (co za poważny zarzut!), a więc — bez talentu.

Cechą, nie tyle charakterystyczną, co niezbędną w każdym z tych wielu literackich programów jest bezwątpienia pewien dynamizm.

Jesteśmy w pochodzie. Idziemy wielkim krokiem ku tak, zda się, pewnej i jasnej przyszłości.

I oto jedna uwaga, jedno zastrzeżenie. Warto stwierdzić, co z bagażu, który w trudzie dźwigamy, jest prawdziwą wartością, a co jedynie jej złudą.

Idziemy tą drogą obładowani czczymi symbolami różnych „izmów", zapatrzeni w błędne ogniki: miasto, masę i maszynę.

Może jednak należałoby inny obrać kierunek, inną zmierzać drogą.

Właśnie dziś naglące potrzebny jest obrachunek, w czasie zamętu i bezmyślności, gdy słowa nasze straciły swe właściwe, wewnętrzne znaczenie, a stały się kolorowemi liczmanami uczuć, któremi kupczą sprytni kuglarze na gwarnych ulicach, gdy niczego nie jesteśmy pewni, nie mogąc się porozumieć, gdyż krzyczą stada tych, którzy nic do powiedzenia nie mają — a głos każdego z tych krzykaczów ma donośny ton, nie tyle coprawda proroczy, co manifestacyjny.

Nie jest przyjemne „legitymowanie programów" tak, zda się, jasno skrystalizowanych, tak prawie zupełnie nieomylnych (oto dają nam kiedy niekiedy nawet szablonowe „przykłady nowego tworzenia, czy śpiewania"!!), — ale bez wszelkiej wątpliwości pożyteczne.

Oby nie do nas odnosiły się te surowe, a sprawiedliwe słowa: „Nie jesteś, z bruku wołają kamienie, przechodź!" (Norwid).

Oby nas nie przekreśliła zupełnie przyszłość „korektorka wieczna". Już dość dawno rzucano pod adresem różnych naszych grup literackich: gdzież jest wśród was jakaś silniejsza indywidualność? — Głupstwo, odpowiadano, my mamy program i cel; reszta się sama zrobi.

Tak, zrobi się — ale nigdy! w tych warunkach.

Zadaniem wszystkich tych szkół jest (przyznano się do tego otwarcie) wytworzenie przeciętnego poziomu literackiego. Zdawało się twórcom tychże grup, że między olbrzymiemi statuami natchnień genjuszów poezji jest luka, którą trzeba koniecznie zapełnić, właśnie tym „przeciętnym poziomem". I tu jest zasadniczy błąd. Nigdy celem twórczości prawdziwej nie było i nie będzie wyrównywanie poziomu umysłowego. Każda silniejsza indywidualność odskakuje, jak piłka, od płaszczyzny przeciętności i nierzadko graniczącej z nią popularności. Stawiać zaś sobie za cel, przywiązywanie indywidualnych wartości do normalnej podstawy przeciętnych zdarzeń, uczuć i myśli, co bezwątpienia cechuje każdą zbiorowość, jest — obniżaniem lotu. Z takich gniazd nie wylecą orły — wróble raczej, lub sikory.

Głównym atutem tych mizernych zamierzeń ma być tak bałwochwalczo ubóstwiana współczesność, rzekomo streszczająca się w pojęciu: „twórczy kolektywizm".

Otóż cechą charakterystyczną naszej epoki, zaczynającej się już w końcu zeszłego wieku, jest nie masowa wytwórczość (pojmuję tu „masę" jako czynnik wytwarzający, a nie wytworzony), lecz właśnie nawskróś indywidualna twórczość wynalazcza różnych Edisonów, Skłodowskich i Berthelotów.

Już wielekroć stwierdziliśmy, że ze wszystkich „szkół" w życiu, a już najbardziej w sztuce, nie pozostało nic. Przetrwało czas i zmienność warunków życia tylko to, co było najbardziej własne, co było sobą.

Słusznie zauważył Winawer, że kiedyś w dalekiej przyszłości nie będzie mówiło się o nas: „to było w czasie, gdy na kontynencie Europy szerzyła się zaraza „Surrealizmu", lecz: „to było wtedy, kiedy żył Edison, czy inny jakiś „indywidualista".

Z programowego nastawienia do życia wynika właśnie tak zwana: „walka ze sztuką" ponadklasową, nie mieszcząca się w ramach takich czy innych, na podłożu politycznem czy społecznem, ustanowionych programów.

Skrzętne zaś szufladkowanie i porządkowanie w dziedzinie krytyki jest smutnym objawem zaniku prawdziwego krytycyzmu względem rzeczy nieistotnych i przemijających.

Gdyby chodziło o parowóz, auto, spółkę zarobkową — czy inny jakiś wytwór świadomej i celowej działalności człowieka, to wyjaśnienie istoty tych zjawisk i solidne umieszczenie ich w ramach przeciętnie znanych i przeciętnie ścisłych pojęć, wystarczyłoby najzupełniej. — Inaczej rzecz się ma ze sztuką, która zawsze pozostanie zagadką.

Jest mnóstwo teoryj i teoryjek estetycznych na ten tak ograny temat — i to właśnie dowodzi najlepiej, jak dalecy jesteśmy od prawdy, od rozwiązania zagadki; bowiem gdzie jest wiele różnych zdań, tam żadne nie budzi bezwzględnego zaufania.

I tu nie chodzi o rozwiązanie.

Idzie przedewszystkiem o to, czy, mimo tyle historycznych doświadczeń, nie idziemy błędną drogą ku przyszłości.

Gdy my dzisiaj staramy się zagłuszyć indywidualność „miastem, masą i maszyną" i na jej miejsce ustawiamy zbiorowe wypracowania, o tyle doskonalsze, że nowocześniejsze, czy czasem nie omyliliśmy się i (co gorsze) nie utwierdzamy się na ślepo w błędzie?

Indywidualizmu zabić jednak nie zdoła najbardziej „krzycząca" współczesność, choćby władała najzasobniejszym mechanizmem zdobyczy technicznych — ale legitymacje nasze na wstęp do potomności w randze „dobrze zasłużonych" mocno są problematyczne i ...fałszowane.

Błądzić bowiem — znaczy: jeszcze iść naprzód, ale utwierdzać się w błędzie, nie szukając z niego wyjścia jest zupełną klęską i odwrotem.

Przestańmy się raz wreszcie łudzić, co do wartości programów, wiążących grupy poetów w jednolicie (trzeba to przyznać) idący front, ale front idący w ... tył. — Nie odkrywcze „manifesty" szablonów. — nie pławienie się we wrzącej fali współczesności — lecz indywidualizm, jak najszerzej pojęty — indywidualizm.

Taki jest nasz „program" — innego nie mamy.

Nie odkrywamy wspólnie najnowszych zadań dla sztuki — łączy nas, i tem jesteśmy silni, jedynie szczery i poważny stosunek do „Pani dusz".

Lech Piwowar.

TEOFIL KOWALCZYK.

ODEZWA.

Nie wołajcie nas spazmem słów, jak płaczem słoty w wichrze,
na wasze twarze ogień niech buchnie radości — —
Idziemy — szary pluton — w dni pachnących nisze —
roboczy tłum z odezwą deptanej miłości.

Wyjdź naprzeciw człowieku, gdy gardło łzy cisną!
Ulewą strof, jak wodą, napój popękane usta. —
Salwami ciężkich pięter oczy się twe niech zachłysną,
a na klawiszach drzew wicher melodje rozhuśta.

Nie trzeba nam pustych oklasków rynkowej gawiedzi
Wystarczą wasze serca i krwi waszej ciepłe tętno —
Żyjemy czarnym chlebem burzliwych snem niedziel,
karmimy się radością jak młodość namiętną.

Słowa nasze wnet skrzepną i stwardną, jak młoty. —
Po purpurowych kablach strof depesze iskrowe zaszumią —
palce czyjeś przekręcą nowych godzin taster złoty — —
jesteśmy szaleńcami, co życie pić umią!

Płomień strzeli z słów naszych ostrą piramidą,
pod parasolem nieba serce się pieśnią zatroska. —
Z tych dni, pracą dyszących, co przed nami idą
przemówi do nas krzykiem poematów — Polska!!

Awangardą jesteśmy! — Bierzcie nas w swe dłonie!
Nasz sztandar płachtą gazet serca wasze w zmierzchu trąca! —
Miljon kolorowych lamp w ulicach naszych płonie, — —
jedziemy do was z pieśnią pociągami — Słońca!

Po wasz ból w noc wyłkany i po nędzę złotą,
po fibry spracowanych mięśni, które warsztaty gdzieś gryzą! — —
Po wiosnę pól Twych, co się czai nieznaną tęsknotą
jedziemy — Ojczyzno! —

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI.

SZTAFETA.

Odbierz mu świętą księgę, zanim na niej skona
I pobiegnij z nią dalej w zwycięskiej sztafecie —
On tu przy nas proch ziemi w agonji rozmiecie
I ducha krwią wyzionie na nasze ramiona.

Niechaj w ostatnim pulsie słabnącego serca
Echo twojego biegu ziemia mu odtętni,
W uszach mu się rozświszcze i wzrok roznamiętni
Moc, która czas zdobywa i przestrzeń przewierca.

Sprężystemi mięśniami i pracą płuc silną
Unieś wielką wygraną wielkiej myśli naszej —
Całą Rzeczpospolitą jeden rytm opasze
Gdynia — Poznań — Warszawa — Kraków — Lwów — i Wilno.

A my tutaj, gdy zmilknie twój tupot daleki
I gdy on z ust wypluśnie sztandar krwi czerwonej
Złożymy martwy zewlok, śmiertelnie zmęczony
I pierwszemu zwycięzcy zamkniemy powieki.

Jan Sztaudynger.

Don Kiszot i Mefisto.

Zmagam się nadaremno
Ze sercem mojem,
Bóg nie jest ze mną,
Samotny stoję.

Opłakuję w krwawych łzach,
Sen, który dawno skonał;
Rzeczywistości tragiczny łach
Tulę w ramionach.

Don Kiszot i Mefisto
Siedzą w karczmie i piją,
Przez okna — szybę wybitą
Zagląda ślepy Rossynant.

Kłócą się z sobą zażarcie
Don Kiszot i Mefisto —
Przy drodze w żydowskiej karczmie
O rzecz nierzeczywistą:

Co gorzej duszę nawiedza
I co jest większem męczeństwem:
Czyli zupełna wiedza,
Czyli zupełne szaleństwo?

Patrzy na nich Rossynant
Pomroką niewidnych ślepi,
Nie umie odpowiedzieć
Co z tego byłoby lepiej.

Mieczysław M. Wojtaszewski.

Ojciec.

Znojne były dni
i nie było radości
dancingów; —
chyliły się plecy, —
praca latami gniotła,
żeby syn kiedyś
mógł chodzić
w lakierach
i smokingu.

Odprawa krzykaczom.

Program literacki, o ile ma być kierunkiem, a nie modą, o ile ma być trwałym i przeorać głęboką bruzdą karty historji literatury — taki kierunek literacki musi być stworzony przez życie, a nie przez żadne sensacji i reklamy umysły ludzkie. Dlatego nie mamy zamiaru tworzenia ogródka, otoczonego kolczastą, nieprzebytą barjerą. Otwieramy naścieżaj serca wszystkim przejawom życia i wyciągamy dłoń do braterskiego uścisku ku wszystkim, którzy niosąc z sobą wartości twórcze, zechcą razem z nami stanąć do pracy. Każdy będzie nam drogi, krom krzykaczy, pozerów i autoreklamiarzy. Lecz kilka mamy zastrzeżeń:

Bezwzględnie są nam obce reklamiarskie, wykwitłe na łodygach bezwstydnej zarozumiałości i znarowienia — manifesty.

Fabrykuje się je bez poczucia odpowiedzialności, na kolanie. O tym nerwowym pośpiechu, świadczy wybitnie ględzenie manifestowym tonem, z nieświadomością logiki. Ostatnio, ukazał się właśnie taki manifest w formie nadzwyczajnego wydania dziennika. Wzoru tego systemu nie trzeba daleko szukać. Jest to nawiązanie do tradycji manifestów, wydawanych przez „obłąkanego“, a tak popularnego w naszem mieście „Cezara“. Zatem forma nie nowa. A treść? Autor narzuca się z nią nie pierwszy już raz, autor, chorujący chronicznie i, zdaje się, nieuleczalnie na wielkość, przyczem pielęgnuje swoją specjalność: dziecinne ignorowanie publiczności. Nieszczęśliwie doradza poetom, wyzbyć się światoburczych manij, a w wierszu o Halinie, (znanym zresztą od kilku lat) wymaga, aby śmierć córki robotnika Żywiołka wstrząsnęła całą Polską, a nawet całą Europą. W Pieśni o Ojczyźnie woła autor: „Zamało mostów . . . Stwórzmy nowe rzeki“. Takich nonsensów możnaby przytoczyć więcej.

Nie, czcigodny autorze! My nie będziemy pisać o wyborze pana Prezydenta i wypłyniętem oku Haliny, córki Żywiołka, bo na wierszowane kroniki nieszczęśliwych wypadków nie starczyłoby nam ani czasu, ani papieru.

Na podobne praktyki mamy jedną odpowiedź: Krzyczcie i ośmieszajcie się w dalszym ciągu, my zawsze stajemy do pracy w zwartym szeregu. Przestańcie bawić się w nowych nauczycieli. Mamy swoje mózgi i swoje serca. Wasze lekcje i „przykłady pięknego śpiewania“ nas zbałamucić nie zdołają.

I do nas także Polska przemawia. Ale przemawia nie tylko nerwowem tętnem fabryk, nietylko cielskami mostów, lub wyborem pana Prezydenta, — ale płynie do nas również z wonią polskich pól, ze szumem chlebodajnych kłosów zbóż, krwawi nam serca nędzą opuszczonych i skrzywdzonych, rozpiera nam piersi rozkoszną świadomością rosnącej z dnia na dzień potęgi, wykuwanej spracowanemi rękoma w czarnych, jak noc, sztolniach kopalni, w piekle hut, w nędznej salce szkolnej, pełnej drobnej dziatwy i przy szewskim czy blacharskim warsztacie. Wszystko to kochamy. Wielbić będziemy polską ziemię i polski twórczy trud, bo niema Polski bez ziemi i niema Polski bez trudu.

Idziemy w pełne miłości i hartu, w napęczniałe radością, słoneczne jutro Polski.

Stanisław Kaszycki.

Rozpowszechniajcie „ANTENĘ LITERACKĄ“!

Włodzimierz Mihal.

Szept księżyca.

Upij się, synu, mem światłem
drżącem i chwiejnie pierzchliwem — !
Nie bój się! Staniesz się wiatrem,
co z każdem igra przędziwem.

Upij się moją światłością,
sennych ułudą otęczy . . .
Nie bij się! Zaproś Kłam w gości,
bo Prawda, Prawda cię dręczy.

Upij się memi blaskami
w strasznych dopełnień godzinie:
staniesz się twardy, jak kamień,
klątwa przywiązań cię minie.

Upij się! — Białe znam cisze,
uroki dziwnych nabożeństw:
w chmur czarnych kapturze, mniszy,
nad Wielkiem schylam się Morzem.

Pij . . . i . . . na śmierć się mną upij!
Od innych — wara upojeń!
Bezpłodnych moich gór łuki —
mroźnem królestwem są twojem.

Wincenty Hlouszek.

Wspomnienie.

Wiedzie mnie szara ścieżyna;
Nad rzeką chodzę i dumam —
Melodja fal jest dziś inna,
Choć płomień słońca nie umarł:
Choć nie zgasł w pałacach obłoków
Amarantowy strzęp róży.
Choć wiatr na polach, daleko,
Zmęczone skrzydła położył.
I choć jest cicho, jak wtedy,
Gdyśmy oboje dumali —
W różowej lusce seledyn
Skalistym brzegom się żali.
Jakieś westchnienia i szepty.
Brzmią jakieś słowa najszczersze:
W klawiszach fal — poety
Łzy — śpiewające wierszem.

Giełda na Parnasie.

Amerykanizacja i ordynarny „business“ wciska się wartką strugą metów nietylko w życie potoczne, nietylko do biur i kantorów, ale nawet do prasy i, co gorsze — do literatury. Jeżeli poeci „Skamandra“ i ich bracia sjamscy przesiąkli atmosferą interesu — to nic dziwnego. Ich autoreklamiarstwo, podszyte pod atłasowy dywan sztuki, jest rasowym wykwitem specyficznych właściwości etnologicznych tego środowiska, z którego wyrośli i, które ich wychowało — na uzdolnionych i wysoce utalentowanych sprzedawców swego pokupnego artykułu.

Nie chodzi mi tutaj specjalnie o wyżej wymienionych, którzy i tak bankrutują, jak to stwierdza szczerze „Głos Literacki“, ale boli mnie niezmiernie fakt, że zgubny wpływ ich oddziaływania na młodą polską generację literacką może doprowadzić do obrzydliwego wykrzykiwania cen własnej wartości przez twórcę, co jest podobne do procederu prostytucji, czy prostracji duchowej. Tak jest w Warszawie i tak jest w Krakowie. Śmierdzące ulicznictwo w poezji starają się niektórzy rozprószyć delikatnym prysznicem kolońskiej wody tego, co się nazywa dobrym tonem, modą, czy też pseudokierunkiem literackim i twierdzą z całem dobrodusznem przekonaniem, że tylko oni są powołani do wartościowania, że tylko oni mają rację w sprawach, obracających się dookoła sztuki, co wyłącznie do nich należy, jak niewątpliwy dogmat. Śmieszne! — Tandeta, co chce grać światłami sztucznie wytworzonej reklamy, jak fałszywe perły, pragnie hypnotyzować społeczeństwo. Ale czem? — W każdym razie nie prawdziwą artystyczną wartością, bo ta nie polega na krzykliwości kolorów, ale na prawdziwym umiarze klasycznego piękna.

Dziś o wartości poezji sądzą ludzie, którzy sami kiepsko piszą; dziś o przerośćie metafory wygłaszają przez radjo prelekcje ludzie, którzy sami ją w swoich utworach na gwałt forsują, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, czy jest ona istotną, czy posiada artystyczną prawdę. (Pauperyzacja! Pauperyzacja!) Naturalnie wyobrażają sobie naiwnie przytem, że za 50 lat świat będzie jednem olbrzymiem miastem, w którem strzelać będą reflektorami kurki elektrycznych świateł, jak ogromne jupitery — i już dzisiaj mówią o swem wieszczem posłannictwie. (sic!)

Tego rodzaju psychoza „miłości spolecznej“, opiętej w „popielaty sweater“ obrony wartości i poziomu literatury, zaraziła nawet poważne organizacje literackie. Trudny bowiem jest do wytłumaczenia fakt, rażący, jak krosta na delikatnym zamszu kobiecego ciała, że w gronie wybitnych ludzi talentu, znajdują się jednostki, które błaznują, jak marjonetki, pociągane za sznurek pozy literackiej, które mogą być czemś i mogą zabierać głos w poważnych sprawach, ale dopiero w przyszłości i po uprzedniej nauce grzecznego wychowania i dobrego taktu. Ale teraz? Dziś? I to oficjalnie? — Nie! To naprawdę skandalik, który tylko przynosi kompromitację tym ludziom w opinji zdrowo myślącego społeczeństwa, które przecież nie może brać na serjo wystąpień niedowarzonych pociąt, faworyzowanych przez tępiejące i zdezorjentowane w tych sprawach redakcje prasy codziennej. Rozpalone łby uprawiają dziś grube korsarstwo tak w krytyce, jak i w poezji pod banderą najrozmaitszych „izmów“, popełniając tylko szereg idjotyzmów, a tworząc najwyżej „burzę w szklance wody“, jak się do tego wyraźnie przyznał jeden z owych „izmów“, któremu tutaj słodko zaznaczamy, że „przyszłość należy wprawdzie do wielkich“, ale tylko . . . mądrych, nigdy zaś do ludzi o skrzywionym rdzeniu pacierzowym pojęć na istotę i wartość sztuki.

Na zakończenie jeszcze jedno. Daleki jestem od szkalowania kogoś, ale mnie pasja bierze, patrząc na wypadki, które mają chorobliwy objaw gorączki ludzi, którym się pali grunt pod nogami! Oznacza to bowiem nic innego, jak tylko koniec tej poezji, która w pogoni za formą zaplątała się w gwarze współczesnego życia i nie może go teraz wtłoczyć w ramy, które stworzyła poza niem i bez jego współdziałania.

Teofil Kowalczyk.

STANISŁAW KASZYCKI.

BÓL.

Ból cichy — a palący, niby dłonie chłopca,
Co się zwarły nad z gniazda skradzionem pisklęciem,
Przeszył serce, jak włócznia, której litość obca —
Jak palców trędowatych zabójcze dotknięcie.

Cicho dzisiaj jest we mnie, gdyby w czas pogrzebu,
Kiedy nie chce się płakać, a łzy w oczach pieką —
Kiedy niemoc człowiecza uskarża się niebu . . .
I dudnią grudy ziemi o trumienne wieko.

I niema we mnie żalu — niema nienawiści.
Jeno serce, jak klejnot z świętego pierścienia
Zapadło w stos zamarłych, podeptanych liści,
Blask stłumiło w rozkosznem szczęściu utajenia

I niejeden raz jeszcze bzy się zazielenią.
Wiele jeszcze czas rzuci zjadliwych ukąszeń.
Aż serce, jako owoc dostały jesienią,
Napęcznieje do syta bólem, niby miąższem.

Wreszcie kiedyś zakwitnie biała niespodzianka
Ostanią wielką łaską Bożej encykliki . . .
Serce moje otuli ostatnia kochanka
W ciszę wieczną, jak w chustę świętej Weroniki.

ZENON KOTERBA - DZIUBAN.

O TEM, JAK MODLIŁ SIĘ BEZ.

W złotym ogrodzie jesieni, pogasły jabłka — słońca
i pustka wisi na drzewach, szarością oczy męcząca.
Tylko płot, szyldwach wytrwały, bagnetem sztachet wiatr straszy,
a bez wymadla wiosnę, szeptem liljowych ojczenaszy.

Czasem, w jasnej hołobli radość przez wieś przejedzie,
kiedy dniem syty zachód idzie pogwarnie przez miedze,
a za domami, w półśnie wieczornym doliny,
śmieją się oczy tarnin i usta jarzębiny.

Ale już wnet się pola rozjaśminią śniegiem
i blaszkami naledzi zapłaczą drzewa w lesie.
Białym mrozem zakwitną na szybach od wschodu,
prymitywne witraże z słońca i sopli lodu.

JAN KAZIMIERZ ZAREMBA.

GRUDZIEŃ.

W grudniową, srebrzyście chłodną, szorstką od mrozu, pogodę
Wychodzę z pola samotny, strudzony pracą gospodarz,
Gorączka żniwnych upałeń w sercu przygasa i chłodnie,
wiatr ją rozwiewa chłodliwy w tęczowe szronem południe.

Jeszcze dygocą me ręce i żądne brudu ramiona,
nad ziemią bryła błękitu na twardy kryształ stężona.
Zwolna zcichają krwi tętna, pulsy przestają łomotać,
rola zawarła się mrozem, jak zryta biedą twarz chłopa.

Rosnę w stalowych ozimin, twardych od mrozu rozbłyskach,
narastam w krzepę i hardość w lodowych zimy uściskach.
Szepcę, że już niedługo gruda od żaru rozpłonie —
Święta gorączka tworzenia rozpali twarde me dłonie.

WIESŁAW GORECKI.

SZAL.

SZKIC REWOLWEROWY.

Osoby:

ANIELKA
JANUSZ
ZŁOCZYŃCA

(Rzecz dzieje się współcześnie).

(Pokój przeraźliwie skromnie urządzony. W głębi okno. Na pierwszym planie siedzi zgarbiony Janusz, trzymając w rękach szal i pendzelek. Zajęty jest malowaniem, odwrócony od okna, przez które wpada złoczyńca w dostatniem futrze, z rewolwerem w ręku).

ZŁOCZYŃCA: Ręce do góry! *(Janusz flegmatycznie podnosi ręce w górę. Złoczyńca nie widząc jego twarzy, przeszukuje mu kieszenie, wyciągając z nich scyzoryk, chusteczkę do nosa, kilkadziesiąt groszy...)* To już wszystko? Phi! *(Janusz zabiera się do malowania).* A to co? szalik? ręczna robota? Wie pan co? Ja to wezmę!

JANUSZ: E — chyba nie.

ZŁOCZYŃCA: Na serjo! *(Rzuca się na Janusza. Ten wali go w szczękę, złoczyńca runął na podłogę).* A niech to! Knock-aut pierwszorzędny!

JANUSZ: *(Powrócił do swego zajęcia).* Pochlebiam sobie.

ZŁOCZYŃCA: *(Siedząc na podłodze).* Wie pan, skoro jeszcze byłem w gimnazjum — wyrzucono mię z szóstej klasy, mniej więcej dziesięć lat temu, miałem analogiczny wypadek. Było to już u schyłku mojej karjery szkolnej. Kolega mój siedział w ławce, odwrócony odemnie i wycinał jakieś postacie z papieru. Zanosił je stale jednej smarkatej, mogła mieć wówczas jakie dziewięć, dziesięć lat... Tak mój kolega, jak i ja ubiegaliśmy się o względy tego bębna. Otóż widząc w rękach mojego kolegi owe papierowe zabawki, rzuciłem się na niego, chcąc je podrzeć. I wtedy, pierwszy raz w życiu, otrzymałem wspaniały, zimno wyliczony cios. Pamiętam go do dzisiejszego dnia.

JANUSZ: *(odwraca głowę ku niemu, chwilę patrzą na siebie w milczeniu),*

ZŁOCZYŃCA: To szczególne!... Tak mi się wydaje... mój Boże! dziesięć lat...

JANUSZ: Poznałem cię odrazu po głosie. Niezmieniony od tylu lat. Byłem ciekaw, co wyniknie dalej i dlatego nie reagowałem z początku na twój napad. To ty „Sucharek!"

ZŁOCZYŃCA: Właściwie, to tak! A ty jesteś Eukaliptus! Co? Wtedy — przed dziesięciu laty zażywałeś cukierki na kaszel i stąd ta nazwa... Eukaliptus... Parol d'honneur! Bój się Boga! Po tylu latach... Dajże gęby!

JANUSZ: Sądzi pan, mój ex-kolego, że zwykłem wycałowywać się z włamywaczami?

ZŁOCZYŃCA: Ależ przysięgam ci! Zakład!... Wczoraj popiłem niezgorzej w dancing-barze pod „Kulawym wielbłądem"... Już dobrze w nocy założyłem się, że w przeciągu 24 godzin wtargnę do pierwszego lepszego, nieznanego mi mieszkania i ukradnę jakikolwiek przedmiot.

JANUSZ: Dobrze ci się wiedzie.

ZŁOCZYŃCA: Mój drogi! W tych dziesięciu latach różnie ze mną bywało. Obecnie, mam wcale rentowne przedstawicielstwo opon samochodowych i punkt-rollerów na cały kraj. Nie mogę uskarżać się na niedostatek. Ale ty mój kochany... cóż ty porabiasz? Daruj, ale wiedzie ci się jakoś nie nadzwyczajnie. Chyba, że dla zakładu mieszkasz w tym pałacu.

JANUSZ: Pojutrze promuję się na doktora medycyny.

ZŁOCZYŃCA: A tak! Moje najserdeczniejsze gratulacje.

JANUSZ: Pozwolisz, że zapytam o jedno...

ZŁOCZYŃCA: Z rozkoszą! Tysiąc pytań.

JANUSZ: Odkąd jesteś w naszem mieście?

ZŁOCZYŃCA: Od pół roku. Interes prowadzę pod obcą firmą. Mon vieux! W stolicy nieco trudniej znaleźć się w ciągu pół roku, niż w naszem dawnem, prowincjonalnem miasteczku.

JANUSZ: A jakże łatwo znaleźć co innego.

ZŁOCZYŃCA: Nie rozumiem.

JANUSZ: Choćby sposobność do „donjuanizowania".

ZŁOCZYŃCA: Jakto?

JANUSZ: Tylko bardziej po nowoczesnemu, to znaczy ordynarniej...

ZŁOCZYŃCA: Cóż chcesz przez to powiedzieć?

JANUSZ: Co sądzisz o cukierniach?

ZŁOCZYŃCA: Że chodzi się do nich, bynajmniej nie w celu zjadania ciastek.

JANUSZ: Świetnie! Dojdziemy łatwo do porozumienia. Cukiernia „Ma petite" dostępuje często zaszczytu oglądania twojej, ufundowanej na punkt-rolerach i oponach samochodowych postaci.

ZŁOCZYŃCA: Z takiej tonacji... słucham uważnie.

JANUSZ: Posłuchajże zatem, że ani szala, ani tej, dla której jest on przeznaczony, mieć nie będziesz.

ZŁOCZYŃCA: *(patrząc na szal).* To dla Anielki... Owszem, będzie jej w tem do twarzy. Popielate włosy, szal pomarańczowy...

JANUSZ: Ja mogę ofiarować wełniany, ty z crepe de chine'y. Zaręczam, że wybierze mój.

ZŁOCZYŃCA: Jak w bajeczkach dla grzecznych dzieci.

JANUSZ: A ponieważ każda bajka ma morał na końcu, wysnujże go z łaski swojej! Może nie wiesz, jak brzmi... Nie tędy droga! Albo jak wolisz: W miłosnym szale stanowią o zwycięstwie często skromne szale.

ZŁOCZYŃCA: Lecz gdy na szale położymy jeden i drugi, ten lżejszy będzie miał ciężar życiowy większy. A zresztą... Zakuj swój aforyzm w czterowiersz i umieść go w dodatku świątecznym, lub kalendarzu. Może wogóle odznaczasz się talentem poetyckim... Mam dla ciebie wspaniałą propozycję: Reklamy moich artykułów wierszem.

JANUSZ: Można poetyzować nie piórem, lecz czynem. Zapewniam cię, że w życiu nie napisałem i nie napiszę wiersza. Przeżywam natomiast poezję życia, która ma popielate włosy...

ZŁOCZYŃCA: ...i jest kasjerką w „Ma petite". Sądzisz, że zwyciężysz? Wolno wiedzieć, skąd masz tak wyczerpujące wiadomości? Szpiegujesz mnie.

JANUSZ: Wszelkie wiadomości zawdzięczam samej Anielce. Nie ma przedemną żadnych tajemnic.

ZŁOCZYŃCA: I są ludzie nie wierzący, że wszystko jest dziełem przypadku. Gdyby nie działanie Vermouthu i złączony z nim zakład, nie miałbym przyjemności gawędzić dziś z tobą... omówić całą tę kwestję.

JANUSZ: Niema tu nic do omawiania. Zachowaj arsenał swych zdobywczych środków dla kogo innego. Życzę powodzenia, a teraz — żegnam!

ZŁOCZYŃCA: Wytnijże z papieru parę młodych ludzi, złączonych uściskiem: Anielkę i mnie. Piękna ozdoba na drzewko. *(Staje koło okna).*

JANUSZ: *(Drgnął, odłożył szal),* Teraz ja cię zapytam, co to ma znaczyć?

ZŁOCZYŃCA: To, że jesteś — excusez le mot — skończonym durniem, poetą!

JANUSZ: *(Ogłuszony).* Przecie pojutrze żenię się z Anielką... Jakże?

ZŁOCZYŃCA: Miljon gratulacyj! Pomyśl kiedy o mnie, jako o ojcu — chrzestnym, rzecz prosta.

JANUSZ: *(Złamany).* Jakże... Przecie Anielka... *(Pukanie).*

ZŁOCZYŃCA: Rusz się ty niedołęgo... Mieliście się przełamać opłatkiem!

JANUSZ: *(Chwiejąc się, podchodzi ku drzwiom, otwiera je).*

ANIELKA: *(Wchodzi, nie widzi złoczyńcy, stojącego w oknie).* Dobry wieczór. Jak się ma vir clarissimus? Całować! Prędko!... J nusz... Co tobie? *(Spostrzega złoczyńcę)* A — —

ZŁOCZYŃCA: Spójrz na ten piękny podarek wigilijny Anielko! To dzieło jego rąk doktorskich. Uroń uncję łez, podziękuj mu i wyjdź za niego. Niebezpieczeństwo w zwłoce.

ANIELKA: Ty skąd tutaj? Czego chcesz?

ZŁOCZYŃCA: Oto mnie starego cynika łamie wzruszenie. Jakże budujący, roztkliwiający jest wasz widok. Wszystkiego najlepszego! Wesołych Świąt życzę państwu. *(do Janusza)* Skoro dorobisz się na pacjentach, zechciej popierać moje przedsiębiorstwa. Pozwolisz mój Eukaliptusie, że nie wyjdę stąd z próżnemi rękoma. Przegrałbym 10 flaszek szampana. *(Rzuca się ku stolikowi, porywa szal, rozdziera go i część wkłada do kieszeni).* Biorę strzępek twojego serca! *(Wskazuje na okno).* A! byłbym zapomniał! Masz tu na pamiątkę naszego spotkania! *(Rzuca na stolik rewolwer).* Zużytkuj go pod moim, lub pod twoim adresem. Pardon... i pani jest tutaj. Czekam. *(Stoi chwilę na oknie. Janusz siedzi nieruchomy, wpatrzony tępo przed siebie. Anielka jak skamieniała oparła się o ścianę).* Zdaje się, nie bierzesz mnie w rachubę? Kto milczy, ten potakuje. Bywajcie zdrowi! *(Wyskakuje przez okno).*

ANIELKA: *(Po długiem milczeniu, nie odrywając ócz od rewolweru)* Właściwie, możebyś powiedział, co mam począć ze sobą? Bo ja naprawdę nie wiem... Nie popatrzysz się na mnie?

JANUSZ: *(Nie patrząc na nią, głucho).* Pojutrze miał być nasz ślub...

ANIELKA: I może być. Z mojej strony nie widzę najmniejszych przeszkód. Co do ciebie: jeśli wierzysz w istnienie duszy, to moją pozyskasz na własność: a że tam było jedno fizyczne odchylenie...*(Zbliża się powoli ku Januszowi).*

JANUSZ: Anielko!

ANIELKA: Skrzywdziłam cię, to prawda. Od czegóż jednak istnieje wielkoduszność? Aby wybaczać w miarę błędy innych... a ja tylko raz zbłądziłam...

JANUSZ: Anielko!

ANIELKA: Wiem, że się tak nazywam. Wiem również, że udusiłbyś mię połową szala. Ale zanadto mnie kochasz. *(Po chwili)* To było tylko raz, możesz mi wierzyć... więc jakże? Cóż za małostkowość! Trzeba było prędzej promować się. Janek... pamiętasz? Dziesięć lat temu wycinałeś dla mnie postacie z papieru... *(staje koło Janusza)* ja byłam zawsze taką wielką damą, siedziałam w takiej pozycji... *(siada przy stoliku we wdzięcznej pozie)* a ty... *(błagalnie)* ty leżałeś u mych nóg...

JANUSZ: Anielko! *(rzuca się do nóg Anielki, wybucha płaczem. Anielka gładzi go lewą ręką po włosach, prawą powoli, nieznacznie otwiera torebkę, leżącą na stoliku i wkłada do niej rewolwer, poczem torebkę zamyka).*

KONIEC.

TADEUSZ JÓZEF WÓJCICKI.

DZIŚ A JUTRO.

Dziś — serca prężą się w walce, jak kwiaty w jesiennym wietrze,
Jutro — orkan przeznaczeń z areny świata nas zetrze.

Dziś — płomień czerstwych zachwytów radością barwi nam twarze,
Jutro — przemówi do nas złowróżbnym, groźnym wyrazem...

Dziś — tętni śpiewem młodości, krzepiącym ducha peanem,
Jutro — dalekie, tajemne, upiornem dręczy pytaniem...

Dziś — prądy życia chłoniemy, słońca sycimy się blaskiem,
Jutro — przez filtry wieczności przesączy trupie zarazki.

Dziś — naszą godziną istnienia i śmierci dzwonem —
Jutro — w przepaście Kosmosu runiemy nędznym atomem!

I jutro na martwych piersiach niebo się gwiazdą położy,
Gdy dziś uwieńczy nam czoła pękami lauru Duch Boży!

LECH PIWOWAR.

SMUTEK.

Zanim strusi pióropusz błyszczący i jasny,
nocą, po powiekach sennych, jak cień chmury przemknie
i wszystkie gwiazdy spłoną, jak ćmy i zagasną,
pozostanie ta chwila modlitw i roztęsknień.

Zanim spragnionym ustom wschód wzejdzie różowy
i w mokrym pocałunku rosę chłodną poda,
cień księżyca owinie blady kształt mej głowy,
wtopionej w śpiewy nocne słowików w ogrodach.

Aż się zwelni ruń nocy i snop światła tryśnie,
przez powieki przeleci roziskrzone łzami.
Odejdzie noc, ta cisza, co nigdy nie kłamie
sercu, zapatrzonemu w lecące z drzew liście.

I zastygnie łza, kropla światła na powiekach
w szemrzący słońcem brylant, jak kamień w pierścieniu. —
Naokoło przepłynie radość rwącą rzeką,
twarz cała będzie w słońcu — tylko serce w cieniu.

Pod znakiem koloru i formy.

Z bardzo długiego szeregu nazwisk na ostatniej wystawie w „Pałacu Sztuki", na wyróżnienie zasługują: **Vlastimil Hofmann,** który, jak zwykle, tak i teraz, pokazał nam szereg aniołków i dzieci, którym jednak nie można odmówić piękna i serdecznego ciepła. **L. Kowalski** dał portrety, kwiaty i krajobrazy, zasługujące na powieszenie w salonie... **Pieńkowski** mile pejzaże, **Wodzinowski** stodwudziesto któreś tam... „Zaloty", **Lam** melancholijno-szare kompozycje, o charakterystycznem, dla tego malarza, zamyśleniu, oraz skromna ilość dzieł **Bunscha, Fedkowicza, Leszki, Paciorka, Rubczaka, Waśkowskiego.** Z młodych wystawili obrazy b. uczniowie „Wolnej Szkoły Mal. i Rys.": **Detke, Iglowski, Jaźwiecki** (prace bez podpisu) — i **Mertlik,** zgrupowani w „Kwadrydze". Nakoniec wspomnieć wypada o dobrych suchorytach, drzewrytach i akwafortach **Tyrowicza.**

Z. K. D.

W antykwarjacie artystycznym F. Studzińskiego ujrzymy dnia 15 b. m. dorobek artystyczny młodego artysty mal. — **Stanisława Raczyńskiego.** Uczeń Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, pozatem samouk, gdyż ledwie kilka miesięcy studjował grafikę u prof. Wojnarskiego, odznacza się niebywałą inwencją i niezależnością kompozycji. Powszechne uznanie zyskały prace wybitnego już dziś artysty, wystawione w Sali Tow. Przyj. Szt. P. w Poznaniu. Świadczą o tem głosy poważnych znawców sztuki, jak: Ludwik Puget, W. Lam, H. Majkowski, W. Noskowski i w. in. Tekę grafik St. Raczyńskiego nabyło dla udekorowania apartamentów **P. Prezydenta Rzeczypospolitej na Zamku Poznańskim.** Raczyński, obejmując wszelkie gałęzie grafiki, z największym zapałem i najbardziej owocnie zwraca się ku drzeworytowi, nawskróś nowocześnie, stwarzając dzieła istotnie ciekawe i wartościowe.

St. W.

Z trybuny literackiej w Krakowie.

Obecny sezon literacki w Krakowie odznacza się dużą żywotnością, co jest wielce pocieszającym objawem, ze względu na dotychczasową bezczynność. Związek Zawodowy Literatów, którego prezesem jest najwybitniejszy dramaturg współczesnej literatury polskiej, K. H. Rostworowski, urządził szereg odczytów i wieczorów autorskich dla swych członków.

Najaktualniejszym był odczyt **K. H. Rostworowskiego** p. t. „O sanację współczesnej literatury polskiej“. Autor „Niespodzianki“ poruszył w referacie zagadnienie tworzywa i psychologicznych impulsów, oraz społecznych i kulturalnych warunków, na podłożu których kształtuje się literatura danego narodu, oraz wskazał na wzajemne oddziaływanie odrębnych kulturalnych środowisk i na skutki, mogące stąd wypłynąć. Zdaniem wybitnego poety, literatura polska, w najsilniejszym stopniu, z pomiędzy wszystkich literatur europejskich, znajduje się pod zgubnym wpływem poetów żydowskich, piszących po polsku, co przyczynia się do jej wypaczenia, a skutkiem tego, dalszem następstwem takiego stanu rzeczy, jest przekreślenie kultury polskiej przez naleciałości kryptożydowskie. Rzecz swą ilustrował K. H. Rostworowski na twórczości J. Tuwima, wskazując na wybitnie występujące w jego poezjach pierwiastki utylitaryzmu, pasjonalizmu, sensualizmu, oraz rewolucjonizmu, a więc na pierwiastki obce zupełnie duchowi polskiej kultury. Odczyt ten wywołał liczne echa w prasie codziennej, a wśród publiczności zrozumiałe wrażenie.

W Uniwersytecie odbył się wieczór autorski, czołowego dziś liryka krakowskiego, **J. Aleksandra Gałuszki** p. t. „Cienie orłów“. Na treść złożyły się utwory znane już z poprzednich tomów, oraz dwa utwory prozą: „Stara panna, czyli siedem grzechów głównych“ i „Ekscelencja“, owiane sentymentem współczucia dla nędzy ludzkiej i zmian losu, a silne w ekspresji formy. Świetnie ponadto wypadł wiersz p. t. „Pogrzeb Focha“.

W „Domu Artystów“ pochwalił się próbkami swojego talentu **Marjan Czuchnowski**, mówiąc we wstępie o „Pauperyzacji poezji“, jednak, przytoczywszy szereg sądów Brzozowskiego, sam nie dał nic konkretnego. W wierszach jego, przeważnie okolicznościowych, widać silenie się na oryginalność, gdzieniegdzie nawet udałą, ale nie zawsze szczęśliwą. Powtarzanie się w obrębie ukutych zwrotów („srebrne warkocze głosu“, „srebrne kandelabry uczuć“, „srebrne kolczyki rosy“), zjawiających się co chwila — jest szablonem.

Znany krytyk literacki **Kazimierz Czachowski** wygłosił w sali Kopernika U. J. prelekcję na temat „Nowe prądy w literaturze“. Oczywiście miał tu na myśli literaturę polską wyłącznie, w której dokonywa się powoli, ale stale nawrót od już się przeżywających form racjonalizacji i automatyzmu w poezji, oraz przerostu metafory — od werbalizmu — na rzecz pierwiastków irracjonalnych w twórczych impulsach poetyckich. Dowodem — poeci „Kwadrygi“, którzy na swym sztandarze umieścili napis: sztuka uspołeczniona“, których kultem przestaje być słowo samo w sobie, jako cel i środek sam dla siebie, a staje się raczej — tylko środowiskiem do wyrażania nastrojów i myśli ogólnych — społecznych. Znamiennem jest spostrzeżenie p Czachowskiego, co do ogólnej dążności kollektywnej twórczości współczesnych grup poetyckich, pewnej predylekcji do przeciętności, rezygnującej z indywidualizmu, co przypomina średniowiecze w kulturze łacińskiej. Jest to twierdzenie może niezbyt ścisłe, bo w samym Krakowie istnieje grupa poetycka („Krakowski Klub Literatów“), która zasadniczo przeciwstawia się „szarzyźnie“ literackiej, a pragnie kultywować najszerzej pojęty indywidualizm twórczy i sztukę najsilniej związaną z życiem jednostki i społeczeństwa.

Wieczór autorski **M. Rusinka**, p. t. „Ekran nad miastem“ nie przyniósł nic nowego, prócz tytułowej noweli i jednego, czy dwóch wierszy. Recytowane utwory słyszeliśmy i czytaliśmy już przedtem („Połykacz liter“, „Bunt szyn“, „Krzyże“, „Wojna“ i t. d.). Prócz tego w nastawieniu autora do zagadnień go interesujących, znać martwotę ideologiczną, która grozi przeistoczeniem się w szablon, jeśli tylko p. Rusinek, pracą i rozszerzeniem swoich horyzontów myślowych, nie przerwie jednostajnego pierścienia dotychczasowych motywów twórczych. Stosunku człowieka do maszyny nie można brać tylko jednostronnie i określać go w jeden i ten sam sposób („Motorowy Błażej Wrona“, „Ręka na hamulcu“, „Ekran nad miastem“), bo to oznacza wyczerpywanie się talentu i jego stałe kostnienie, a my chcemy wierzyć w zdolności twórcze autora „Buntu szyn“.

T. K.

Przegląd wydawnictw.

ANTONI WAŚKOWSKI: **„Opowieść księżycowa“**. Kraków — 1929. Skład główny w „Księgarni Krakowskiej“. Trzeba podziwiać i podkreślić w pierwszym rzędzie odwagę autora, który w dzisiejszych, niespokojnych czasach, rzuca na rynek księgarski swą nową pracę: subtelny poemat miłosny, napisany klasycznemi oktawami. Autor „Legendy“ i ostatnio wydanego dramatu p. t. „Makryna“ (scil. Mieczysławska), należący do starszego pokolenia poetyckiego Krakowa, pozostał nadal wierny swemu „credo“, nie pozwalając porwać się chwiejnym nurtom czasu, obojętnie przechodząc obok tych, co poczwarkom swych nowatorskich „izmów“ przypinają skrzydełka manifestów i zgrzytliwym, alarmowym piskiem ulicznika, mącą dostojne życie podwawelskiego grodu. Daleki od gmatwaniny skojarzeń pustych słów, rozmiłowany w obrazach bezpośrednich i łatwo zrozumiałych, śpiewa melodyjnym, płynnym, choć „staromodnym“ wierszem „Opowieść“ swej miłości tym, którzy, jak on, oczekują jej, wierząc, że „przyjdziesz ty — wiecznie daleka, choć bliska...“ Miłość, tęsknota, wybuch wspomnień i znów droga nowych refleksyj i tęsknot — oto synteza tych 19-tu oktaw p. Waśkowskiego. I dlatego wierzymy, że znajdą się tacy, choć zapewne dziś niewielu, którzy, umiejąc odczuwać poetyckie słowa, wbiegną wzrokiem na karty tego pięknie wydanego tomiku, znajdując w nim echo swych tęsknot, nikomu nieopowiadanych i tej świadomości, jaką autor kończy swój poemat: „Najbliższa z bliskich moich, choć daleka!...“

Arten.

M. WOJTASZEWSKI — **„Pieśń o krwi“** i **„Słowa Miłości“**. Poziom poezyj Wojtaszewskiego i wysiłek twórczy, w nich zawarty, należy mierzyć nietylko objektywną miarą rezultatu, ale i stosunkiem do przyszłości. — Pierwszy tomik „Pieśń o krwi“ nie jest ani wyznaniem wiary (pacyfizm), ani dziełem sztuki, ujmującem zagadnienie społeczno-polityczne w sposób sobie właściwy, nowy i oryginalny. Jest to dokument, wśród wielu innych, świadczący o ohydzie wojny i jej straszliwych skutkach, dokument spięty, jak złotą klamrą słowami Chrystusa. Trudno przypuszczać, by takie było ostateczne „credo“ autora. Dał on poprostu obraz myśli i uczuć prostych żołnierzy, zmęczonych wojną i pragnących, zresztą dość świadomie: „nie walczymy za ojczyznę, walczymy o cudze kraje“ — pokoju. Mówi on w imieniu tych najprostszych ludzi i dlatego słowa jego są tak proste, że... aż trudno je należycie zrozumieć. W „Słowach Miłości“ wyraźniej zarysowuje się ideowy profil Wojtaszewskiego i tutaj można już rozstrzygnąć, jak autor maluje właściwe swoje oblicze i jakich potemu używa środków. Sprawa nie komplikuje się zbytnio. Idealny Chrystjanizm przy pewnej monotonji w doborze środków ekspresji jest najsilniejszym tonem zbiorku. Umiłowanie prawdy, człowieka — to rzeczy zupełnie nie nowe, by miały decydujący wpływ na czytelnika, by udzieliły mu się w sposób tak szczery i poważny, jak oddziałały na Wojtaszewskiego. Powinny jednak zdradzać pewien wysiłek w zmaganiu się z niemi. Prawda wtedy jest cennym nabytkiem, jeśli doszło się do niej drogą wielkiej pracy, szczerego wysiłku. Dla nas jest to sprawa czysto formalna: chcielibyśmy ujrzeć rzetelny wysiłek twórczy autora w pokonywaniu odkrytej przezeń rzeczywistości. Trud autora winien nam ułatwić zbliżenie do jego ideałów. A o to chyba Wojtaszewskiemu chodzi, skoro daje w ręce czytającej publiczności swe utwory. — Sztuka przecież, jak to niedawno zauważono, jest dziełem społecznem o znaczeniu, równie doniosłem, jak religja i wynalazek. Musi być objawieniem, jak religja i trzeba, aby zawierała trud odkrywczy wynalazku. — Niestety, — czy na ten wysiłek autor nie zwraca wiele uwagi, czy też pomija go lekkomyślnie — dość, że odbiło się to ujemnie na jego utworach.

L. P.

JANINA BRZOSTOWSKA: **Najpiękniejsza z przygód“**. Nakład F. Hoesicka. Warszawa 1929. Wiersze Brzostowskiej, aczkolwiek stanowią miły kontrast w porównaniu z umężczyzniającą się twórczością innych poetek, zarówno treścią jak i formą nie wyrastają ponad miarę przeciętności. Kolorystyka i fantazja — uboga. W niektórych wierszach usterki rytmiczne, oraz braki w logicznem rozwinięciu treści, którą są: miłość, wspomnienia i nieprzeparta chęć uszczęśliwienia ludzi. Do najlepszych — z wątłych naogół utworów Brzostowskiej — należy zaliczyć wiersze: „Noc“, „Tajemne zmartwychwstanie“ i „Ciszę zimy“.

W. Hl

MIECZYSŁAW JASTRUN: **„Spotkanie w czasie“**. Warszawa — F. Hoesick. Zbiorek poezyj, który — zwykły znak czasu — przeszedł omal bez wrażenia. Przyczyny należy szukać w istotnej głębi utworów Jastruna. Jest owa głębia czemś nie do zniesienia dla ogółu wykarmionego na współczesnej, wrzaskliwej, bunczucznej „twórczości“ reklamujących sie jednostek. Oryginalny pogląd na przyrodę, refleksyjność w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, nieprzebrany zasób uczucia, przy — może aż nadto — powściągliwej formie cechują zbiorek młodego poety. W utworach jego wszystko jest prawdziwe: muzyka ma swój istotny dźwięk, drzewo kształt, róża barwę i woń. Filozofowanie w wierszach bywa zazwyczaj czemś niemiłem, jeśli nie odpychającem. U Jastruna spotykamy sie, z poglądem, mogącym być ściągniętym do zdania: „vanitas vanitatis“. Do owego poglądu jednak dochodzimy drogą, mieniącego się barwami tęczy, obserwowania. Nirwanizm, jeśli wykwitł na podłożu poczucia bezsiły pojedynczych dążeń i zamierzeń wobec przyrody i całego naszego otoczenia, jest wzniosły. Jest on w tym wypadku takim hymnem na cześć przyrody, jaki wyśpiewał Kellermann przez usta Ryszarda Grau'a w „Głupcu“.

St. W.

HANKA KŁOSIŃSKA: **„Drogą kobiecych serc“** — Nowele. — Kraków 1930. Nakładem Lud. Zw. Art. Liter. „Promienistych“ w Krakowie. — Na tomik składa się siedem nowel: Dokąd? — Skowronek — Krynolina — Kobieta — Czarna fala — Wiosna — Przymierze. Za temat obrała sobie autorka miłość i poświęcenie kobiety. Stanowczo stwierdzić trzeba, że w nowelkach tych tkwi talent autorki i znać próby sumiennego opracowania tematu. Ale narazie stosunek autorki do tworzywa jest naiwny i niezdecydowany. Brak tutaj wyraźnej, indywidualnej formy wypowiedzenia się. Autorka posługuje się staremi metodami, nie gardząc nawet symboliką, która zawsze — o ile nie jest subtelną i szczegółowo przemyślaną — razi nas nienaturalnością i spada do rzędu wytartych frazesów. W nowelkach spotykamy często powiedzenia: Natchnienie. Miłość, Przeznaczenie, Ogród Życia, Wielkie Lato Ducha i t. d. Czy nie szkoda uczuć, zgubionych na bezdrożach, wyszukanych i nic nie mówiących słów? Pokutuje tu także błąd, charakterystyczny dla początkujących, a mianowicie przeciążenie tekstu zbytecznym balastem interpunkcji. W każdym niemal wypadku, gdzie wystarczyłaby jedna kropka lub przecinek, autorka umieszcza trzy kropki. Są również błedy stylistyczne (Rękę do kołpaka podniósł kozacki oficer — „Krynolina“ str. 29) i błędy w słownictwie regjonalnem (powinno być **wierchy**, a nie **wirchy**). Zważywszy jednak młody wiek autorki, spodziewamy się, że w następnym tomiku błedów dotychczasowych uniknie. I tego jej szczerze życzymy.

St. K.

MĘŻCZYZNA POWOJENNY W POWIEŚCI. Problemat walki z życiem dla tych, którzy wyszli cało z walki na polach wojny — jest wciąż jeszcze bardzo aktualny. Aktualny jest przez to, iż znajduje swe odbicie zarówno w życiu codziennem, jak i w dziełach literatury, analizujących psychologję pokolenia, ocalonego z odmętów wojny.

Jedną z najlepszych książek, zajmujących się tą psychiką, jest świeżo wydana powieść A. G. Borgese p. t. „Rube“ (przekład p. Stelli Olgierd), którą krytyka europejska stawia w jednym rzędzie z takimi mistrzami pióra, jak Dostojewski, Hamsun i Proust.

Bohater powieści Borgese'a Filip Rube, jest istotnie typowym przedstawicielem tego pokolenia, które, uszedłszy przed granatami wojny, nie może jednak po powrocie z wojny znaleźć dla siebie miejsca. Na wojnie życie było — mimo wszystko — uproszczone. Poza sprawami samej wojny, żołnierz w okopach nie znał żadnych innych konfliktów. Ktoś zawsze myślał za niego, ktoś wyższy starał się o to, aby miał jedzenie i okrycie. Ale po powrocie zaczął się konflikt — zaczęła się walka, — w gruncie rzeczy znacznie brutalniejsza, niż w okopach, — walka z życiem, z płynącą i wciąż zmienną rzeczywistością. I stała się dziwna rzecz: okazało się, że to pokolenie, które z takiem samozaparciem umiało stawiać opór armatom i mitraljezom, odzwyczaiło się od walki z życiem, nie umiało przeciwstawić sie życiu i że inni, młodsi, ubiegali je na każdem polu, zajmując opuszczone miejsca. Stąd główny konflikt owego pokolenia, tworzącego dzisiaj poniekąd typ „człowieka niepotrzebnego“. Poznanie jednak tego nowego typu człowieka jest zarazem jedyną drogą przezwyciężenia go. Zrozumiał to Borgese, który w swym „Rube'm“ wyczerpał i omówił wszystkie niemal konflikty pokolenia powojennego. Wszyscy ci, którzy byli na wojnie, odnajdą w książce tej własne swe dzieje.

Muzyka.

„KUPAŁA“ WACHNIANINA.

Dnia 5-go b. m. w stolicy Ukrainy sowieckiej, Charkowie ujrzała poraz pierwszy światło kinkietów, 4-aktowa opera Anatola Wachnianina. Autor, znany polityk i publicysta ukraiński, zajmuje wśród kompozytorów bezsprzecznie najpierwsze miejsce. Dorobek jego stanowią w przeważnej mierze pieśni solowe i chóralne. Jako dyrygent znakomitego chóru ukraińskiego „Bojan“ obchodził Wachnianin 25-letni jubileusz istnienia tej wysoce artystycznej placówki. Zasługi jego na polu kompozycji i kierownictwa chóralnego znane są powszechnie. Za życia doczekał się Wachnianin (zmarł w r. 1909) ledwie estradowego wystawienia we Lwowie urywków swej opery, która w mistrzowski sposób łączy ukraiński folklor muzyczny z motywami orjentalnymi. Libretto napisał sam kompozytor. Obecnie w Charkowie „Kupała“ odniosła nieklamany sukces, do czego przyczynił się współudział znanego tenora Holyńskiego. Premjerę transmitowały wszystkie radjowe stacje sowieckie.

St. W.

Krakowski Klub Literatów.

Z inicjatywy członków „Brzasku“ i „Ezoteru“ powstał w Krakowie nowy cech literacki, pod nazwą: „Krakowski Klub Literatów“. Głównemi wskazaniami nowej organizacji literackiej są: zapewnienie indywidualnościom członków zupełnej swobody, wykluczenie możliwości wytwarzania kapliczkowego nastroju wzajemnej adoracji, usunięcie z krytyki literackiej, z literatury, a szczególnie z poezji momentów polityczno - partyjnych i przeciwstawienie się niesmacznej autoreklamie. Członkami Krakowskiego Klubu Literatów są: **Stanisław Kaszycki** (prezes), **Mieczysław Wojtaszewski** (wiceprezes), **Lech Piwowar** (sekretarz), **Tadeusz Józef Wójcicki** (skarbnik), **Jan Kazimierz Zaremba** (redaktor „Anteny Literackiej“), **Wiesław Gorecki**, **Wincenty Hlouszek**, **Zenon Koterba-Dziuban**, **Teofil Kowalczyk**, **Zygmunt Leśnodorski**, **Włodzimierz Mihal** i **Kazimierz Skowroński**. Adres Klubu: **Kraków, ul. Wolska 14**, parter.

Prenumerujcie „ANTENĘ LITERACKĄ!“

„ANTENA LITERACKA“
Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Wolska L. 14, parter

Redaktor przyjmuje we czwartki i soboty od 12 - 1 z wyjątkiem świąt. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Przedpłata roczna 6 zł., półroczna 3 zł. **Cena ogłoszeń:** 1 strona 280 zł., 1/2 strony 150 zł., 1/4 strony 80 zł., 1/8 strony 40 zł., 1/16 strony 20 zł.

Wydawca: „Krakowski Klub Literatów“ — Red. odpowiedzialny: Jan Kazimierz Zaremba. — Drukarnia „Głosu Narodu“ pod zarządem R. Ferka.